

# Zmęczeniu wyciecznikiem

ANDRZEJ BRAUN

WRACAJĄC dziś do kreślenia telewizyjnych relacji muszę się przyznać, iż nie bardzo można to nazwać powrotem. Od szklanego okienka nie było tak łatwo odejść, i nie było gdzie, w długie, deszczowe wieczory tego lata. Bardziej zatem skazani, ściślej odczuwaliśmy wszelkie plusey i minusy programu. Mówię w liczbie mnogiej, albowiem na wakacjach ogląda się TV najczęściej zbiorowo. To też ciekawy eksperyment. Może więc tym razem uwagi moje będą bardziej sumaryczne i ogólne. Festiwal w Sopocie się skończył, rok szkolny się zaczął. Klęsk żywiołowych na Zachodzie i nowych pomników w Polsce nie brakowało, dziennik miał więc pełne ręce materiału. Zwłaszcza, że jeśli jest coś ciekawego do zobaczenia (nie za granicą, tu, na miejscu, w kraju), to nam się o tym komunikuje z kartki, a jak się odbywa zebranie, to się nam je uparcie pokazuje. Z tych uroczystości najbardziej „zdumiewającym” i radosnym faktem było oddanie do użytku tysięcznej szkoły tysiąclatki. Zaskakujące i podnoszące na duchu. Gigantyczna akcja społeczna została naprawdę doprowadzona do końca w tak krótkim czasie. Podobne rzeczy zwykle rozpoczynamy z hukiem, ale ciąg dalszy i wyniki rozpylają się jakoś w zamięczeniu życia, szybko o tym zapominamy, końce „giną w wodzie”. W tym wypadku świeżo

pamiętamy rozpoczęcie owego fantastycznego dzieła, które zjednoczyło dosłownie cały naród (w kraju i za granicą), po czym, a inśmy się nie obejrzeli jak mityczna cyfra została osiągnięta. I to w tak pięknym, sportowym stylu.

Za to rozrywki w prawdziwym, wakacyjnym charakterze, przez cały ten okres prawie nie uświadczymy. Jedyna rzecz, która dała się zapamiętać, to recital satyryczny K. Krukowskiego „Samoobsługa”. Ten „humorek” w stylu „Buffo” i „Syrény”, którego nie jestem admiratorem, w TV zabrzmiał niczym szampańska i zaskakująca śmiała satyra, na tle bogoojczyźnianego „byczo — jest” i ikliwych „paszkwilów” Wielokropka. Dziwne.

Zamęczono nas natomiast teatralnym maratonem. U nas zawsze ilość, nie jakość. Zamiast stałej troski o proporcje, jedna impreza-gigant i — „wykazano się”, a widz jest przesycony i ma na dłuższy czas dość. Podobnie jak z piosenką w Opolu. Być może jestem nienawykły do uczestnictwa w festiwalach, ale wydaje mi się, że konsumpcja olbrzymiej ilości na ogół przeciętnych albo słabych przedstawień teatralnych w tak forsownej dawce, i to w lecie — nie przysporzyła nowych miłośników Melpomeny spośród widzówi TV. Pisałem kiedyś o dwojakim, rozbieżnym sensie takiego przebiegu — czy to ma być pano-

rama dokumentacyjna życia teatralnego w kraju, a więc coś z zakresu informacji kulturalnej — czy też propozycja wybranych przeżyć artystycznych dla widza. Ocena tej ilości spektakli, czyli podróz po teatrach poprzez TV, należy raczej do kompetencji fachowego krytyka teatralnego „Życia Warszawy”. Niewiele to ma wspólnego z TV i programem TV, jako samoistną skomponowaną całością. To jest w ogóle ułatwianie sobie roboty materiałami poniekąd obcymi. Część sztuk była „utelewyżniona”, nieraz b. dobrze, częściej nie, ale przede wszystkim było ich za dużo. Nie wydaje mi się sensowne, ażeby eliminacja miała należeć do widzów. Choć, oczywiście, rozumiem wagę tej prezentacji dla samych teatrów. Ze spektakli, które pamiętam, do ciekawszych należały: przede wszystkim „Barbara Radziwiłłówna” A. Felińskiego z Teatru Romałowości w Krakowie, w reż. H. Gryglaszewskiej — ze względu na wspaniałe współgrającą scenografię wawelskiego zamku stwarzającą niezapomnianą wizję, królewski patos i uroczysty klimat, ton autentycznej tragedii, piękny wiersz i grę W. Gruszeckiego i Z. Kalińskiej, widowisko świetne mimo rażących uchybień technicznych. Przedstawienie „Aktora” C. K. Norwida, z Teatru im. J. Osterwy w Lublinie (ze studia łódzkiego), w reż. K. Brauna, ożywiające nam tę sztukę

nietłuwego autora. Spektakl „Przezióreczki” S. Żeromskiego, z Teatru im. Żeromskiego w Kielcach — ze względu na kreację N. Skołąby. A także, na innej zasadzie, spektakl „Garści piasku” J. Przędzickiego, z Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie (ze studia w Katowicach), z racji świetnej gry B. Bargielowskiej. Reszta była zaledwie poprawna, albo po prostu słaba.

Z premier niefestiwalowych zapamiętałem znakomite, wręcz wirtuozowskie przedstawienie dwóch jednoaktówek A. de Musset „Trzeba się zdecydować” z Mikołajką i „Kapryst” z Szaflarską i Stawińską, obie z Wollejką, w reż. A. Szafiańskiego (utrwalone na taśmie, ta druga powtórzona). To była rzecz na wiele razy. W ostatni poniedziałek obejrzelismy komedię-groteskę młodego, współczesnego autora radzieckiego Marka Rozowskiego, w gościnnej reżyserii K. Ciszewicz, w świetnej obsadzie (Cembryńska, Traczykówna, Gliński, Kobuszewski). Rzecz świeża, inna w teatrze radzieckim, śmieszna i świetnie zaaranżowana. Brak jej tylko było, na mój odbiór, jakiejś wyraźniejszej gradacji w narastaniu absurdu, w owym przechodzeniu od normalnej obserwacji do gigantycznego bełkotu i surrealizmu, przez co traciła trochę na kompozycji i wyraźniejszej kulminacji.

Sporo było ciekawych pozycji „wrześniowych”, przypominających epizody bohaterkich walk sprzed 26 lat.

Zwróciłbym tu uwagę na program Wszecznicy TV i K. Lubelczyka „Z Westerplatte”, dokumentalny montaż historyczny, odtwarzający, w scenerii i w relacjach uczestników, epopeję-symbol tej współczesnej Reduty Ordona. Lubelczyk doszedł do wielkiej perfekcji w montowaniu i ożywianiu takich historycznych wizji. Są to zawsze ciekawe rekonstrukcje, nie banalne i nie przegadane, z pa-

cją i namiętnością szperacza zaaranżowane. Szczególnie to dziś wrażenie słuchać i oglądać autentycznych uczestników tej legendarnej już historii. To jak ongiś weterani 63 roku. Przyznam się (być może naiwnie), iż myślałem, że nikogo z tych ludzi nie ma. A tyłu ich żyło przez dwadzieścia lat obok nas... Gdzie oni byli dotychczas? Dlaczego ich nigdy nie pokazywano? Zwyczajni, starsi mężczyźni, których już zaliczało się w powszechnej świadomości do świata duchów.

Interesująco i żywo, jak zwykle, wystartował „Pegaz”, cechujący się rzadką umiejętnością hierarchizowania zjawisk. Szczególnie interesujące były uwagi o wielkim Le Corbusierze i cytowana wypowiedź o rzekomej „śmierci architektury” („Marcelu, puknij się w głowę, ona się dopiero narodziła i cieszy się najlepszym zdrowiem”). Jest to zdanko, które można by niejednemu zacytować, i nie tylko na temat tej sztuki.

Z murowanych atrakcji był kapitalny, jak zawsze, „Turniej Miast”, gdzie większa Oleśnica pokonała nieznacznie męźny Syców, jedna z najpiękniejszych zabaw, jaką wymyślono, premiująca perfekcję w zawodzie, budząca szacunek dla jakości i doskonałości wykonywanej pracy. Z okazji kontaktów francuskich W. Filler i L. Kydryński, w programie „Zielone winogrona”, zapoznali nas z piosenką i piosenkarzami paryskiej TV. Najciekawsza tu była chyba ciemnowłosa Celia. Całość przyjemna i udana.